

Pismo.

MAGAZYN OPINII

SIERPIEŃ 2020 | NR 8 (32)

ROZMOWA

Masłowska:
Tęsknię za wspólnotą

ESEJ IDEE

Dwugłos:
Jażdżewski i Lichnerowicz
Jak pandemia zmieni
świat?

ESEJ KULTURA

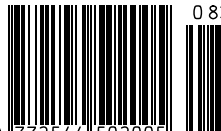
Zaremba:
Czas obalić pomniki

Pajączkowska:
Człowiek,
czyli spotkanie

CENA: 14,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

08>



9 772544 502005

Pismo.

MAGAZYN OPINII

SIERPIEŃ 2020 | NR 8 (32)



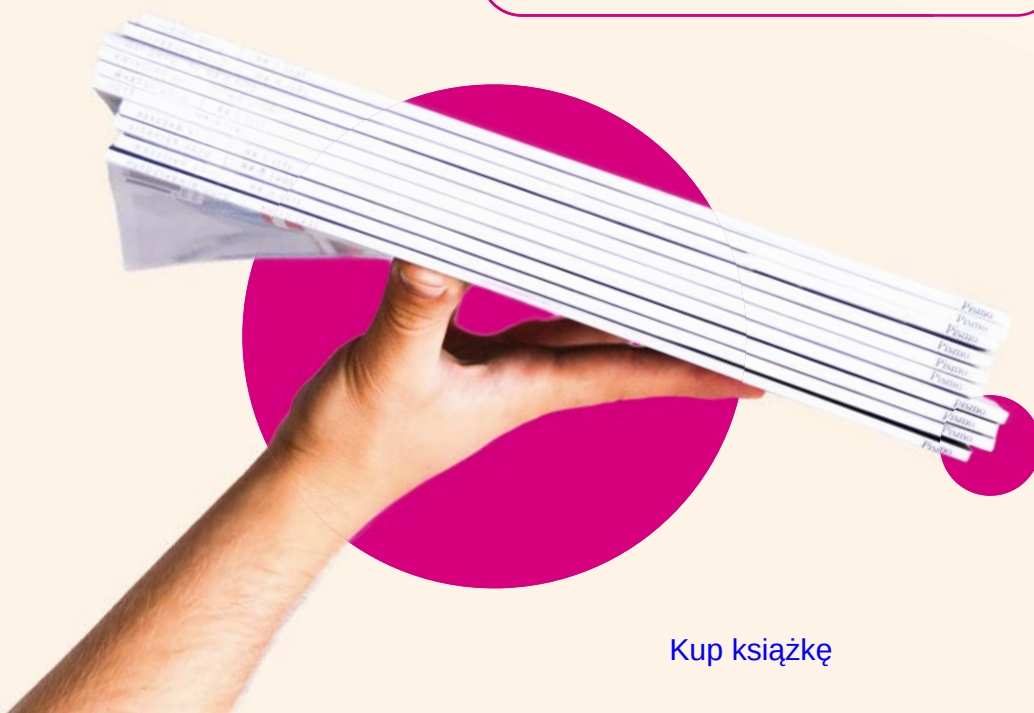
[Kup książkę](#)



Roczna prenumerata „Pisma” z dostępem online i zestawem naklejek w prezencie

magazynpismo.pl/kup

DARMOWA
DOSTAWA



Kup książkę

Pismo.

SIERPIEŃ 2020

OPOWIADANIE

Po pracy! | 6
DANIEL ODIJA

Zofia | 94
URSZULA HONEK

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
Festiwale literackie w sierpniu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 87
NATALIA PRZYBYSZ

POEZJA

Światło latarni | 11
GRACE NICHOLS

Samotność syna | 57
YI SHA

******* | 93
SERHIJ ŻADAN

OBRAZ

CYKL DOBRO WSPÓLNE **Olga i Spa dla mam** | 4
MARTA RYBICKA

SZKIC **Pandemia** | 19
MARTA ZABŁOCKA życie-na-kreskę

FOTOREPORTAŻ **Długie lato Ewenów** | 28
TOMASZ PADŁO

KOMIKS **Trudne odpowiedzi na proste pytania** | 66
JAN KOZA, ADAM „MYKUPYKU” GAWĘDA

ŻARTY RYSUNKOWE
EDYTA BYSTRON

OKŁADKA **Jutro nie umiera nigdy**
PATRYCJA PODKOŚCIELNY

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Stara piosenka o nadziei**
MARCIN WICHA

96 | PRZYPISY **O zmianie**
ZUZANNA KOWALCZYK

ROZMOWA

12 | **Rzeczywistość jest niedoinwestowana**
KATARZYNA KAZIMIEROWSKA zgadza się z DOROTĄ MASŁOWSKĄ

74 | **Jesteśmy jak kamienie**
KATARZYNA ZAJĄC rozmawia z fotografką ANNĄ MUSIAŁOWNĄ

REPORTAŻ

20 | **Darz bóbr!**
ADAM ROBIŃSKI pisze o pożytecznych zwierzętach, których nie doceniamy

58 | **Ersatz Izrael**
ALEKSANDER GRYNBERG spotyka tych, którzy wciąż czekają na lepsze jutro

ESEJ

36 | **Zachód, czyli zmierzch**
LESZEK JAŻDŻEWSKI analizuje, czy pandemia przyspiesza upadek idei Zachodu

44 | **Urządzić świat na nowo**
AGNIESZKA LICHNEROWICZ sprawdza, czy nadchodzący kryzys zmieni *status quo*

52 | **Wyleczmy się z kapitalizmu**
PRZEMYSŁAW WIELGOSZ twierdzi, że neoliberalizm dotarł już do ścian

68 | **Pomnikowe domino**
ŁUKASZ ZAREMBA tłumaczy, dlaczego niektóre pomniki trzeba obalić

82 | **Na wiejskiej drodze**
AGNIESZKA PAJĄCZKOWSKA: nie bój się spotkania z drugim człowiekiem

88 | **Czarna skóra, białe maski**
FRANTZ FANON tłumaczy korzenie dzisiejszego rasizmu w USA

Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Szefowa Działu Idee: Karolina Lewestam,
Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska, Redakcja: Marcin Czajkowski, Zuzanna Kowalczyk, Zofia Sawicka,
Felietaon: Marcin Wicha, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa marketingu i sprzedaży: Kalina Wyszyńska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Anna Linowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



MARCIN WICHA

(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrodzony
Paszportem
„Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Stara piosenka o nadziei

Wiosną ja też miałem napisać wypracowanie o nadziei. Nic mi z tego nie wyszło. Musiałem się wykręcić. Gęsto przepraszać, symulować chorobę. Sugerowałem, że nie jest ze mną dobrze, że wpadłem w depresję, że dostrzegłem u siebie covidowe palce.

Cnoty boskie podlegają modom. Bywa, że zwyżkuje wiara. Czasem na prowadzenie wychodzi miłość. Popularność nadziei przypada na okresy wojen, kryzysów gospodarczych i politycznych.

Nikt jej nie potrzebuje, gdy wszystko idzie dobrze. Nadzieja jest markerem ciężkich czasów. Jak papierosy wypalane do samego końca. Zapasy cukru i mydła. Produkty z darów. Wiara w boską sprawiedliwość. Tygodnie kultury chrześcijańskiej.

Lata 80. należały do nadziei. Zalewała nas nadzieja. Podchodziła pod okna. Buchała z kranów (rdzawa i mętna). Pod koniec dekady miałem już dość. Rzygałem nadzieją. „Nie tą lichą, marną, co rdzeń spróchniały w wąty kwiat ubiera, lecz tą niezłomną, która tkwi jak ziarno w gardle bohatera”.

Po 1989 roku nadzieja jakoś minęła. Z radia dobiegał jeszcze refren „nieważne, że nazwą ciebie głupcem”. Jednak nadzieja trafiła do pawlacza. Do pudła z dekoracjami choinkowymi. Do zeszytu z przepisem na konfiturę z marchwi.

W moim zarzuconym tekście najważniejszy fragment miał dotyczyć piosenki Bułata Okudźawy. Głównego majstra w rzemiośle nadziei.

Trwała prezydentura Aleksandra Kwaśniewskiego. Transformacja była w rozkwicie. Na straganie kupiłem płytę wydaną przez Polskie Radio, nagranie z warszawskiego koncertu. Pomiedzy utworami jakaś kobieta z emfazą recytowała filologiczne przekłady.

– Nocą na Sretence słysząc głos nadziei – potem zauważyłem, że w niektórych wykonaniach ulica Sretenka zamieniała się w „ulicę Moskwy”, bez wskazania konkretnego adresu.

– Ten głos jest słaby i samotny, lecz słodki i wzniosły. Który to już raz rozrywa – może raczej „przenika”? – Który to już raz przecina ciemności? Ale chce mu się wierzyć. – Gdy nie trzeba się będzie bać. – Kiedy minie strach o życie, moi przyjaciele wrócą z podróży. Moskwa rozkwitnie od piwnic po dachy, opustoszeje Paryż. I tak dalej.

Okudźawa napisał tę piosenkę pod koniec lat 80. Witał nią pieriestrojkę. Sam był już chory i zmęczony. Należał do innej epoki. Mógł jeszcze napisać wiele nowych rzeczy, ale i tak pozostawał przede wszystkim autorem tych kilkunastu kawałków, które znaleźmy od zawsze. (Dzięki nim wierzyliśmy, że biegle znamy rosyjski).

Może gdyby mieszkał na Zachodzie. Gdyby zajął się nim Daniel Lanois albo jakiś inny producent, Okudźawa uzyskałby nowe brzmienie i nagrał coś w stylu późnego Dylana lub ostatnich płyt tego faceta z Montrealu.

No, ale nie. To był ten sam Okudźawa, tylko starszy. Nostalgia zagnieżdżona w nostalgii. Lata 80. opłakiwały lata 60. A lata 60. – łkały po latach 40.

Koniec piosenki brzmiał tak: – A jeśli wszystko na nic, i znów będzie jak przedtem – niech Bóg mi wybaczy, a syn niech mnie osądzi – że niepotrzebnie – czy może „na próżno”? – rozwinąłem szczęśliwe skrzydła – „szczęśliwe skrzydła” brzmią dziwnie, ale zostawmy je w tym miejscu. – Cóż poradzić? Miałem nadzieję.

Tyle. Trzy zwrotki. Wszystko na nic. Zostało jak przedtem.

Nadzieja nie jest programem politycznym. Ani cnotą. Ani błędnym ognikiem. Ani nawet złym rozpoznaniem sytuacji. Bywa najwyższą okolicznością łagodzącą, przygotowanym zawczasu alibi (dość słabym, szczerze mówiąc). Dowodem wyuczonej naiwności.

W 1982 roku Natan Ejdelman zanotował: „Ach, Bułacie, mój Bułacie, jesteś moją religią”. Strawestował początek najsłynniejszej pieśni przyjaciela. (Ejdelman był historykiem. Pisał o carach, poetach i dekabrystach).

Czasami myślę, że go rozumiem. W tej religii, jedynej, jaką znam, nadzieja niczego nie obiecuje. Ani zwycięstwa. Ani życia wiecznego. Ani triumfu sprawiedliwości. Nie twierdzi, że nasze będzie na wierzchu. Że tamci upadną, a my zostaniemy nagrodzeni. Bo nie zostaniemy.

Nasze triumfy – jeśli kiedyś nadejdą – okażą się połowiczne. Potrważ krótko i szybko zaczniemy się ich wstydzić. Nadzieja jest przepustką do obozu przegranych. Jedyne, co może nam dać – to obietnicę, że nigdy nie będziemy ze zwycięzcami. I całe szczęście, bo to nie jest dobre miejsce. Zresztą, zwycięzcy nie potrzebują nadziei.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
POLECA W SIERPNIU
FESTIWALE LITERACKIE

Dzięki determinacji Koalicji Letnich Festiwali Literackich większość książkowych wydarzeń dojdzie ostatecznie do skutku, choć w nowej formule plenerowo-wirtualno-stacjonarnej hybrydy. W sierpniu zachęcamy Was więc bez zmian do wspierania kultury i wzięcia udziału w wakacyjnym święcie literatury – tym razem najczęściej przed komputerem lub pod chmurką, oby nie deszczową.

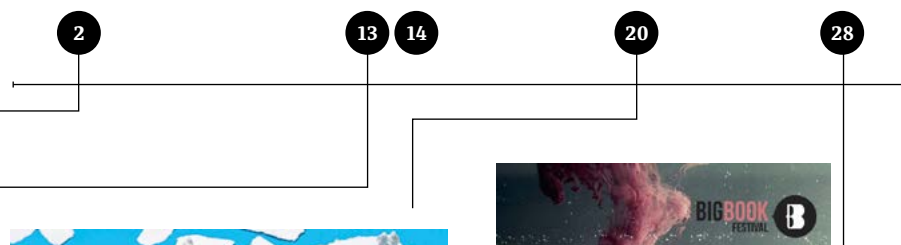


Festiwal Stolica Języka Polskiego w Szczecinie

Sierpniowe wyjazdy zaczynajcie od odwiedzin malowniczego Roztocza pomiędzy 2 a 8 sierpnia. Festiwal Stolica Języka Polskiego odbędzie się w dużej mierze w niezmienionej formule w Szczecinie i Zamościu, choć kilka spotkań będzie dostępnych również online. Patronem tegorocznej edycji jest Cyprian Kamil Norwid, a wśród gości pojawi się m.in. wiele autorek i autorów „Pisma”, w tym Sylwia Chutnik, Mikołaj Grynberg, Ryszard Kosiński czy Filip Springer. Polecamy nie tylko spotkania z pisarkami i pisarzami, ale również warsztaty, wystawy i rozmowy o języku.

WIĘCEJ: stolicajezykapolskiego.pl

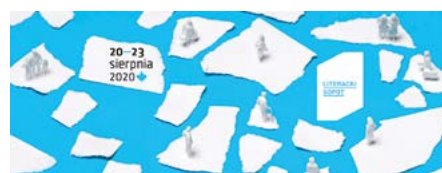
Sierpień 2020



Festiwal Literacki Patrząc na Wschód i Zakopiański Festiwal Literacki

Weekend później trzeba będzie wybrać północ albo południe Polski. Między 13 a 16 sierpnia na Suwalszczyźnie, w Budzie Ruskiej nad Czarną Hańczą, odbędzie się Festiwal Literacki Patrząc na Wschód. Swoje przybycie zapowiedzieli m.in. Urszula Zajączkowska, Paweł Goźliński, Adam Wajrak i Adam Robiński, a w planach są liczne warsztaty, spacer i koncerty na łonie przyrody. Od 14 do 16 sierpnia odbędzie się natomiast 5. edycja Zakopiańskiego Festiwalu Literackiego. Hasło tegorocznej imprezy to „Moc słów” i oprócz wręczenia Nagrody Literackiej Zakopanego w programie znalazły się spotkania autorskie, warsztaty i koncerty.

WIĘCEJ: patrzacnawschod.pl
literackifestival.zakopane.eu



Literacki Sopot

Między 20 a 23 sierpnia ruszymy nad Bałtyk. Gościem honorowym 9. edycji Literackiego Sopotu będzie Kanada, co oznacza obecność takich pisarzy i pisarek jak m.in. Patrick deWitt, Esi Edugyan, Madelaine Thien czy David Szalay. Wśród wielu tematów do omówienia pojawią się zmiany klimatu i nowe technologie w mediach. W planach także warsztaty, spotkania z sekcji „Premiery i debiuty”, pokazy filmów i rozmowy z polskimi autorami i autorkami, m.in. Maciejem Zembą Bielawskim, Anne Applebaum, Pawłem P. Reszką, Stanisławem Łubieńskim czy Olgą Gitkiewicz.

WIĘCEJ: literackisopot.pl



Big Book Festival

Warszawski festiwal literacki Big Book miał się odbyć jak co roku w czerwcu, ale pandemia zmusiła organizatorki do przesunięcia wydarzenia na ostatni weekend sierpnia. Hasło przewodnie tegorocznej edycji to „Czysta miłość”. Część wydarzeń będzie miała miejsce na świeżym powietrzu w okolicach Centrum Łowicka oraz Big Book Cafe, a część wirtualnie. W planach m.in. literackie performanse, spektakle i happeningi. W ramach festiwalu powstanie również na Mokotowie literacki mural, w tym roku inspirowany książką *Miłość w czasach zarazy* Gabrieli García Márqueza.

WIĘCEJ: bigbookfestival.pl



Kup książkę



[Kup książkę](#)

DOBRO WSPÓLNE

Olga i Spa dla mam

zdjęcie i tekst MARTA RYBICKA

18

Olga Ślepowrońska to samodzielna mama dwojga dzieci, psycholożka, edukatorka i animatorka kultury. Jest pomysłodawczynią akcji „Spa dla mam. Wspieramy mamy” skierowanej w szczególności do matek dzieci z niepełnosprawnościami wymagających całodobowej opieki.

Agnieszka z Krakowa wstaje o 6.00 rano, by rozpocząć codzienną opiekę nad swoją córką i chorą od niedawna mężem. Ale dziś ma dzień dla siebie. Jest jedną z ponad 150 kobiet, które skorzystały z darmowego spa.

Domowe masaże to nie jedyny sposób wsparcia. Są nimi również: strefy relaksu w miejskich ogrodach, pomoc w codziennych obowiązkach i w dotarciu do specjalistów czy darmowe obiady.

Cykl we współpracy z kampanią „Organizacje społeczne. To działa”
www.todziala.org



Kup książkę

OPOWIADANIE

Po pracy!

tekst DANIEL ODIJA



Zarząd zatwierdził, że wszelkie spory należy rozwiązywać siłowo. Na miejsce rozejmów wyznaczył wewnętrzne podwórko, okolone i ocienione czterema firmowymi wieżowcami.

Decyzję o siłowym wyjaśnianiu wątpliwości podyktowały testy, które nasi psycholodzy ułożyli, biorąc pod uwagę bieżące wydarzenia krajowe: wzmożoną agresję, rasistowskie i homofobiczne pogromy, ogólnonarodowe zamieszki, do których podburzali politycy, anonimowe hejty w necie, które brano za prawdę. Testy przeprowadzono na każdym z pracowników. Wykazały one, że atmosferę w pracy oczyszcza nie dyskusja, lecz walka na pięści. Rozmowa dawno straciła sens. Ograniczała się do forsowania własnej idei, podczas gdy strona przeciwna narzucała swoją, co prowadziło do bezustannych kłótni. Rozwiązanie siłowe przynajmniej odsiewało zwycięzców od przegranych. A walka na pięści pozwalała na bezpośredni kontakt z przeciwnikiem.

Zdaniem psychologów zadawanie i odczuwanie fizycznego bólu jest bardziej efektywne. Bójka na pięści zazwyczaj ostatecznie wyjaśnia kwestię sporną – w przeciwieństwie do nieuchwytnych zwycięstw i porażek psychologicznych. Psycholodzy uważali, że przemoc najlepiej rozwiązuje problemy. Więcej: zarówno zwycięzca, jak i przegrany zapamiętują na całe życie guzy, siniaki, krwawe rany, złamania, wybite zęby... Bolesne konsekwencje bijatyk miały zapobiegać ponownym próbom konfrontacji.

„Pięść bije umysł na głowę!” – brzmiał slogan autorów testu.

— BYLIŚMY LOJALNYMI pracownikami. Zawsze słuchaliśmy zarządzeń góry. Ale ja miałem kłopot. Gardziłem przemocą, choć w młodości dużo jej zaznałem – albo może dlatego gardziłem, że w młodości dużo jej zaznałem. Głównie przez ojca. Bił mnie pasem po tyłku, plecach, głowie, aż w trakcie jednego takiego bicia dostał wylewu i padł trupem u moich stóp. Miałem jakieś trzyznaście lat. To doświadczenie zakorzeniło we mnie przekonanie, że przemoc prowadzi wyłącznie do śmierci. A jej pierwszą ofiarą może być ten, który dąży do przemocy.

Dlatego próbowałem nikomu nie wchodzić w drogę. Zawsze ustępowałem. Latami. Ale i tak na mnie trafiło. W dodatku w pracy. Dorwało mnie niepisane prawo przewrotnego losu. Im usilniej czegoś unikasz, tym bardziej prawdopodobne, że to, przed czym uciekasz, w końcu cię dogoni, chwyci za kark i krzyknie do ucha: – Mam cię!

— mój sąsiad zza plastikowego przepierzenia, które oddzielało nasze stanowiska – podobne do trzydziestu innych stanowisk na jednym z dwudziestu pięter jednego z czterech firmowych wieżowców – ten mój sąsiad, którego jeszcze kilka tygodni wcześniej uważałem za kolegę, właśnie te kilka tygodni wcześniej zaczął ze mnie drwić.

Z początku dokuczał mi niezauważalnie dla innych, tak by się nie domyślali tych wszystkich zagrywek, które podkopywały moją pewność siebie. A to dosypywał soli do mojego kubka z kawą. Albo pieprzu. A to, gdy wychodziłem do toalety, przedstawiał moje rzeczy na biurku i nie mogłem niczego znaleźć. Drobne złośliwości, ale uciążliwe. Dopóki orientowałem się w nich wyłącznie ja, mogłem udawać, że nic się nie dzieje. Liczyłem po cichu, że te szczeniackie żarty w końcu go znudzą. Nie znudziły. Był chyba na to za głupi. Pewnie dlatego brak reakcji wziął za moją słabość i zrobił kolejny krok.

Zaczął przyklejać do moich pleców kartki z napisami w rodzaju: „Odwróć się” albo „Miejsce na reklamę”. Chodziłem cały dzień po biurze, nie wiedząc, z czego wszyscy się podśmiewają. Obgadywał mnie, a oszczerstwa padały na podatny grunt, bo uchodził za wesołego faceta i wszyscy go lubili, więc jego słowa były brane za pewnik, doskonale udawały prawdę. Plotki, jakie o mnie rozpowiadał, psuły mój wizerunek tak skutecznie, że zanim się zorientowałem, zacząłem być postrzegany jako nieudacznik.

Podjeżdżałem, że jego podła działalność sprowokowały moje uszy. Naśmiewał się, że są zniekształcone. Miałem jakieś osiem lat, gdy nadgryzł je mróz. Po powrocie z podwórka zaczęły puchnąć, pulsować, by po kilku godzinach ostygnać, skurczyć się i zwiędnąć. Odtąd wyglądały jak suszone śliwki, a że w dodatku wyłysiałem na kolanach, nie miałem czym ich przykryć.

— AŻ NASTĄPIŁ TEN DZIEŃ, gdy Szym..., bo tak się nazywał mój prześladowca, specjalnie wpadł na mnie w przejściu między biurkami, by wylać na siebie kubek z kawą. Przeczornie kawa była zimna.

– Moja koszula! – krzyknął, tak żeby wszyscy usłyszeli i spojrzeli w naszą stronę. – No to co? – spytał z błyskiem w oczach. – Po pracy?

Nie miałem wyjścia. Gdybym odmówił, zostałbym wykluczony z zespołu. Z pewnością moja rezygnacja z fizycznej konfrontacji dotarłaby do szefa, co równałoby się dyscyplinarnemu zwolnieniu spowodowanemu nieprzestrzeganiem regulaminu oczyszczania atmosfery w pracy.

— STALIŚMY NAPRZECIW SIEBIE w kręgu kolegów i koleżanek z piętra. Na placu ocienionym czterema wyniosłymi wieżowcami o lustrzanych szybach. W garniturach, koszulach i krawatach. Obaj w chmurach drogich perfum, którymi się spryskiwaliśmy. A jednak przez tę woń przebijał nasz pot.

Zawsze uważałem, że perfumujemy się dla innych, tak jak dla innych się ubieramy. Pod ubraniami skrywamy naszą pierwotną nagość, perfumami maskujemy nasz prawdziwy zapach. Perfumy to maska, która opada w chwili seksu albo przemocy.

— ZRZUCILIŚMY Z SIEBIE marynarki. Odwiązaaliśmy krawaty i zostaliśmy w samych koszulach. Otaczały nas rozgnione twarze. Podniecone zbliżającą się bójką. Równie mocno rogrzewała je zabawa albo coś, co braliśmy za zabawę, gdy na wyjazdach integracyjnych uciekaliśmy od rutyny dnia codziennego, jak lubił mawiać szef. Na integracjach zagrzewał nas do łamania zasad i przekraczania granic – podobno stymulowało to do większej wydajności w pracy.

Jeszcze przez chwilę miałem nadzieję, że ktoś z otaczającego nas kręgu powie: „No dobra, dajcie już spokój. Przekażemy zarządowi, że rozwiążecie konflikt na osobności” – i pozostali do niego dołączą. Ale nikt się nie odezwał.

Pozagryzane usta, napięte twarze... Mięknęły mi wspomnienia z integracji. Z tym się nie odezwał, że zasnęliśmy pod pryszni-



cem. A ten obok raz tak się nawciągał, że poszła mu krew z nosa. Z tamtą się prześpałem i odtąd mnie nie lubiła, może dlatego, że miała męża i dzieci, a może dlatego, że zdradzała ze mną, a nie – dajmy na to – z Szym... I jeszcze tamta. Też coś z nią próbowałem albo ona ze mną, ale chyba nam nie wyszło – albo nie pamiętaliśmy. Niby fajnie, ale nie za bardzo. Krótkotwałe flesze wdeptane w fałdy pamięci jak gówno w bieżnik podeszwy. Ja przynajmniej byłem kawalerem.

Ale wszyscy, bez wyjątku, byliśmy pazerami. I każdy myślał tylko o sobie. I każdy miał o sobie jak najlepsze mniemanie. I każdy chciał wszystkiego tylko dla siebie. Na integracjach nasz egoizm dosłownie szczytował. To zachłanne dążenie do osiągnięcia przyjemności nawiększej z możliwych, choć nikt tak naprawdę nie wiedział, jaka ona jest.

Rozpędzeni w pożeraniu doznań, które jeszcze wieczorem, na alkoholu i wciąganiu, wydawały się tak wyjątkowe, że sprawiały wrażenie poszerzających życie i nas samych. Byliśmy przekonani, że odsłaniały zasłonę codzienności, za którą już prawie było widać to coś, co wydawało się czymś od codzienności wartościowszym.

Nad ranem z tego przecucia pozostawał jedynie odór zużytych ciał i otepienie umysłu. Przecucie czegoś ważnego zastępowały kac i wstyd. Zbywaliśmy to błyskotliwym powiedzonkiem Szym..., pieprzonego Szym..., który po jednej ze szczególnie intensywnych imprez wszystkich rozbawił i uspokoił słowami: – Nic nie pamiętam, więc się nie wstydzę!

— SZYM..., PIEPRZONY SZYM..., wystawił przed siebie obie pięści i przyjął pozycję bokserką. Niestety, od dwóch lat chodził na treningi. O czym wszyscy wiedzieli, bo przecież się chwalił.

Jak sobie z takim poradzić? Z wytrenowanym trzydziestolatkiem, młodszym ode mnie o jakieś dziesięć lat. Przekonany o swojej sile, podczas gdy mnie obciążał codzienny alkohol, cowieczorna dawka żołąd-

kówki, którą piłem od rozstania z dziewczyną, czyli od dobrych kilku lat, co musiało osłabić mój refleks. Wiedziałem, że wszyscy obstawiali naszą bójkę, i domyślałem się, że nie jestem faworytem.

Nóżki Szym... tańczyły. Stopy obute w modne półbuty śmigały tuż nad ziemią. Publiczność oklaskiwała rytmiczne przekładanki. Miał ich po swojej stronie. Był wesołym naszym piętrem. Każde piętro takiego miało. To, że zaczął mi dokuczać i sprowokował bójkę, było pewnego rodzaju zaskoczeniem. Oczywiście to mnie podejrzewano o jakieś świństwo wobec niego. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że po prostu chciał się ze mną bić. Inaczej! Że chciał mnie pobić. Zdawałem się najsłabszy, idealny do wyładowania napięcia. Specyfika naszej pracy sprzyjała narastającej frustracji. Góra wprowadzała kolejne rozporządzenia, które nie uwzględniały tego, że poza pracą może istnieć jeszcze jakieś życie prywatne.

— KRĄG SIĘ ZACISKAŁ. Bójka była nieunikniona. Wołali:

– W mordę, bij go, w jaja, kopnij, uderz...

— SZYM..., PIEPRZONEMU SZYM... zawsze zależało na przychylności innych. Wiedziałem, że uderzy pierwszy. Dlatego na chwilę przed atakiem dostrzegłem w jego oczach błysk podjętej decyzji.

Wyprowadził cios. Szybki, ale zdążyłem zanurkować, od początku nastawiony na to, by chwycić gnoja pod kolana, rąbnąć barkami w podbrzusze i upaść na niego, powalić, przygniść sobą, sprowadzić do parteru. Ten

bubek nie mógł przecież wiedzieć, że kiedyś miałem dziewczynę, która trenowała judo. I w ten sposób sprowadzała mnie do parteru, gdy chciała się kochać. Nauczyłem się tego rzutu od niej.

Od niej też załapałem trochę filozofii zen, praktyki wyzbywania się własnego ego i doceniania chwili obecnej. Ale nie nauczyłem się za bardzo, bo pozostałem skrajnym egoistą. Gdy odeszła, rzadko też czerpałem radość z sytuacji, w której akurat uczestniczyłem. W pracy myślałem o tym, jak to będzie, gdy wreszcie usiądę w domu przy filmie albo meczu, z przydziałową dawką alkoholu, bezproduktywnie zastanawiając się, jak to będzie w pracy.

Wciąż od nowa planowałem, jak by tu się wyrwać z kołowrotu praca-dom, w którym bezmyślnie trwał. Nie znajdowałem żadnych rozwiązań. Uciekałem myślami w przyszłość lub przeszłość. Marzyłem albo wspominałem. W przypadku bójki sprawa była prosta. Bójka nie należała do sytuacji, które warto kontemplować. Chciałem mieć ją jak najszybciej za sobą.

No to chwyciłem pieprzonego Szym... pod nogi i uderzyłem barkiem w podbrzusze. Jęknął, stracił równowagę i poleciał w tył. Walnął plecami o beton. A zaraz potem bezwładną głową. Usłyszałem głucho uderzenie. Upadł tuż obok leżącego na ziemi kawałka cegły. Skąd ta cegła?

– Kuuuu... – Nie dokończył, bo go zatkało. Leżał. Leżeliśmy. Leżałem na nim.

— TOWARZYSTWO ZAMILKŁO. Nachylone nad nami. Leżał. Leżeliśmy. Leżałem na półprzytomnym Szym... I teraz mógłbym zasy-pać go ciosami, odgryźć mu nos, splunąć w twarz, dobić uderzeniem z czoła albo skatować tym kawałkiem cegły, który leżał przy jego głowie. Możliwości było wiele. Ale mogłem też wstać. Co też uczyniłem. Wstałem.

Dlaczego nie dobiłem cwaniaczka, który na moim miejscu dokończyłby mnie, zmasakrował i poniżył? Dlaczego go nie dokończyłem?

Może jestem za słaby albo zbyt wrażliwy. A może przyczyną było to mimowolne wspomnienie filozofii zen, którą wykładała mi moja eks. Mówiła o szacunku dla innych. I zostawiła mnie, gdy powiedziałem, że powinna usunąć bachora, który w niej się załagał, tak powiedziałem „załagał” – jakby to był jakiś robak, a nie człowiek...

Może Szym..., pieprzonego Szym... nie dobiłem przez mój skrajny egoizm? Bo chciałem okazać mu swoją wyższość, która nie zniża się do brutalności?

Moja eks mówiła „nasze dziecko”, a ja – „twój bachor”, i to właściwie skończyło sprawę naszej miłości, czego do dziś żałowałem. Ona znalazła sobie kogoś i żyła chwilą obecną, a ja pościłem się w samotne noce, ciągle wspominając te spędzone z nią. Wciąż nie mogłem wybaczyć sobie tamtego mojego przewrażliwienia. Zasypiała, a ja zaczynałem wsłuchiwać się w jej oddech. To wsłuchiwanie przeszkadzało mi w utrzymaniu rytmu własnego oddechu, który był trochę wolniejszy i głębszy. I zamiast się cieszyć, że obok mnie śpi dziewczyna przepełniona ufnością, zaczynałem ją przeklinać za to, że oddycha trochę szybciej ode mnie, przez co nie mogę zasnąć. Nad ranem często jej zarzucałem, że to przez nią zarwałem noc. Zacząłem sugerować, by próbowała oddychać trochę dłuższą frazą, taką, która zbiegałaby się z rytmem mojego oddychania. Za pierwszym razem wzięła to za nieudany żart, choć po tej rozmowie miała prawo pomyśleć, że żyje ze świrem. Ale wtedy jeszcze mnie kochała. I na pewno nie dla mojej urody. Z czasem jednak zaczęła tracić cierpliwość...

A MOŻE NIE DOBIŁEM tego gnoja, bo zobaczyłem, że płacze. Płakał, bo bolało? A może ze wstydu i żalu, że przegrał? Był taki ambitny. Zawsze na czele peletonu.

Leciały mu dwie nitki łez. Z zewnętrznych kącików oka. Coś we mnie przeskoczyło i przypomniałem sobie bójkę ze szkoły podstawowej.

MIELIŚMY JAKIEŚ dwanaście lat. Nauczycielka już wyszła z klasy. Zaczynaliśmy się pakować na przerwę. I wtedy kumpel z ławki powiedział „kurwa”, co dla niektórych w tym wieku

jest przekroczeniem granicy, która oddziela świat dziecka od świata dorosłych, i zrzucił wszystkie moje książki, zeszyty i długopisy na podłogę.

– Każdy ma swoją połowę ławki! – krzyknął mi w twarz, aż trochę mnie oplotł. A ja wiedziałem, co musi nastąpić, bo mieliśmy w klasie ranking – od najsilniejszego do najsłabszego.

Najsilniejsi nie bili się ze słabszymi. Najsilniejszych było trzech: Królik, Śmigło i Gaca. Drugoroczni. Wszyscy uznali, że zajmują podium. Oni z kolei, choć nigdy nie rozstrzygali tego w bójce, wiedzieli, że Królik ma pierwsze miejsce, Śmigło drugie, a Gaca trzecie. Podobnie ustalono kolejność trzech najsłabszych w klasie. O poszczególne lokaty bili się średniacy. Należałem do średniaków.

Według rankingu klasowego, ja i Ra..., który zrzucił mi książki, zeszyty i długopisy na podłogę, mieliśmy się bić o siódme miejsce. To było siódme miejsce na trzydziestu chłopaków. Dziewczyn nikt nie liczył, choć taka jedna, duża i silna, pewnie zajęłaby czwarte.

I PAMIĘTAM, jak musieliśmy z Ra... powiedzieć:

– Po lekcjach!

Tego wymagały ranking i sytuacja. A tak naprawdę Królik, Śmigło i Gaca, którzy ten

ranking stworzyli. Ani ja, ani Ra... nie mieliśmy ochoty się bić, ale musieliśmy.

Po lekcjach zebraliśmy się na podwórku niedaleko szkoły. Na tyłach czteropiętrowego bloku. I pamiętam, że natychmiast rzuciłem się do bicia. Uderzyłem pierwszy, bo byłem pewny, że racja jest po mojej stronie, skoro tamten zaczął sprzeczkę. Zresztą często tak jest, że ten, kto bije pierwszy, jest przekonany o swojej racji.

Kumple krzyczeli, a mnie poniosło i zacząłem okładać Ra... po twarzy i kopać w nerki, a że był trochę grubawy, to nie nadążał oddawać, aż szarpnąłem go i rozprułem mu sweter, a on krzyknął: – Tylko nie sweter! – Wtedy sweter miał większą wartość niż dziś. Często miało się jeden, dwa, mało kto miał więcej niż trzy, a ten był chyba ulubiony albo ważny dla jego mamy. Może przez jego mamę na drutach zrobiony?

Uderzyłem Ra... jeszcze i jeszcze raz w twarz, aż zobaczyłem, że zaczyna płakać. Zasłonił się rękoma i skulił w oczekiwaniu na kolejny cios. Ale ja się zawahałem. Z pięścią przygotowaną do kolejnego ciosu. Chłopaki krzyczeli – Dobij, dobij! – ale już nie chciałem, choć wiedziałem, że powinienem. W głowie mi się mieszało, miałem mdłości ze strachu i nerwów. Jak szambo wszystkich nieszczęść gotowały się we mnie: odpowiedzialność za ranking, nacisk kumpli na bicie i mój opór wobec dalszego bicia.



Kup książkę

Na szczęście z balkonu zaczęła krzyczeć jakaś kobieta, że wezwie zaraz policję, co ostatecznie przerwało bójkę. Zaczęliśmy się rozchodzić. Ra... ocierał łzy. Rozdarty sweter zwiślał z niego, jakby rękaw miał połamane kości. Kumple z klasy gratulowali mi zwycięstwa, ale mnie było głupio, że Ra... przeze mnie płakał. I byłem tak roztrzęsiony tym całym pojedyńkiem, że sam miałem ochotę płakać. Ale nie zapłakałem.

A TERAZ, prawie trzydzieści lat później, sytuacja znów się powtarzała, jak odbita w krzywym zwierciadle. Przyglądałem się siedzącemu na placu Szym..., który masował tył głowy. Z rozcięcia sączyła się krew.

– Kurwa – jęczał. – Kuuurwa...
– Sam chciałeś – dyszałem nad nim, bo w pchnięcie włożyłem całą siłę. – Sam chciałeś.

– Dlaczego mnie nie lubicie? – szlochał.
– Dlaczego mnie nie lubicie?

– Lubimy cię, lubimy! – koleżanki z pracy zaczęły się do niego przepychać.

Pomagały mu wstać, głaszały go, opatrywały. Niektóre jak kamieniami rzucały we mnie wściekłymi i drwiącymi spojrzeniami. Odczytałem podteksty. „Jak mogłeś!” Ale przede wszystkim: „Jesteś brzydki, masz zwiędłe uszy, jesteś łysy, nikt cię tu nie chce”.

DLACZEGO NIE ZATRZYMAŁEM jej przy sobie? Ona jedyna nie widziała mojej brzydoty. Uważałem, że nie jestem gotowy na założenie rodziny? Tak, chyba to. A przecież miałem wtedy pod trzydzistkę, wcale nie tak mało jak na ojca. Szkoda było mi jednak swojego czasu. Tego czasu, który musiałbym poświęcić na wychowanie dziecka. – Twojego dziecka! – powtarzałem okrutnie. – Naszego! – broniła się, dopóki jeszcze coś do mnie czuła.

Szkoda było mi też pieniędzy, jakie musiałbym wydawać na rodzinę. Wywalczyłem minimalne alimenty. Zresztą za bardzo nie naciskała, bo znalazła sobie nadzianego faceta. A mnie się przez chwilę wydawało, że wygrałem. Czas i pieniądze dla siebie. Że wygrałem niezależność.

Tymczasem niezależność tak naprawdę okazała się samotnością. Odtąd nie mia-

łem celu, dla którego mógłbym żyć. Wegetowałem.

—
KUUURWA... – szlochał Szym...

Moi koledzy patrzyli na mnie tak, jakby chcieli mnie popchnąć, kopnąć, za uszy wytargać. Dopiero teraz zrozumiałem, że od dawna są bardziej jego kolegami niż moimi. Mieli żal, że zwyciężyłem. Powiniennem przegrać. Zepsułem scenariusz zabawy. Jak zwykle obstawiali pojedynek i dopiero po jego zakończeniu zorientowali się, że tylko ja postawiłem na siebie. Wygrywając, zgarnąłem całą pulę. Co prawda, pieniądze niewielkie, ale były ich pieniędzmi. Teraz należały do mnie.

– Posuń się – słyszałem. – Spieprzaj.

Kobiety rozczulały się nad Szym..., a faceci szturchali mnie ramionami. Chciałem tylko jednego – odejść. Zostawić ich za sobą. Tych fałszywych przyjaciół i ukrytych wrogów, którzy przy sprzyjającej okazji stawali się wrogami jawnymi. Zwolnię się z pracy i już nigdy tu nie wrócę. Przecież nie byłem taki stary, miałem zaledwie czterdzieści lat, nie musiałem gnić w jednym miejscu. Nie musiałem też nigdzie jechać samochodem. Mogłem przecież wsiąść w pociąg, by swobodnie się upijać. I podróżować, siedząc w miejscu. Wreszcie dojechać do pierwszego lepszego miasta. Ale w innym kraju.

Cieszyła mnie podjęta decyzja, choć jeszcze niezrealizowana. Ścisnąłem mimowolnie garść banknotów, które mi ktoś wcisnął. Wygraną miałem zamiar wrzucić żebrakowi. Pierwszemu lepszemu. Albo gorszemu. W zależności od tego, jak kto woli nazywać rzeczywistość i innych ludzi – jak kto woli dzielić ludzi i rzeczywistość.

Odwrociłem się od nich i ruszyłem ku swojemu postanowieniu. Po kilku krokach usłyszałem za plecami krzyk. Kobiety.

—
NIE ZDAŻYŁEM zareagować. Ale na skraj pola widzenia zamajaczyła wściekła półtwarz Szym... I jego ręka w górze. A w ręce kawałek cegły.

I ta ręka z cegłą jak na zwolnionym filmie opadała prosto w kierunku mojej skroni. Po czym błyskawicznie się zetknęły. Cegła i moja skroń.

—
WSZYSTKO, co było przestrzenią, zapachem, smakiem, dotykiem i dźwiękiem, skurczyło się w jedno.

—
I ZNALAZŁEM SIĘ dokładnie tu, gdzie jestem. W miejscu bez „było” i „będzie”. Bez wspomnień i planów. Poza sobą samym. W doskonałej krainie zen, gdzie istnieje tylko teraz.

MAGAZYN OPINII
Pismo

Zuzanna Kowalczyk
À propos...

Co miesiąc nowy podcast Pisma.

Słuchaj nas na magazynpismo.pl

Spotify Apple Podcasts Google Podcasts SoundCloud audioteka

Kup książkę

POEZJA

Światło latarni

GRACE NICHOLS

—

W Londynie
od czasu do czasu
dopada mnie głód
kuchni mojej matki

Opuszczam galerie sztuki
w poszukiwaniu plantanów
solonego dorsza / słodkich ziemniaków

Potrzebuję tego ogniwa

Potrzebuję tego
ogniska
wymachuję siatką z zakupami
jakbym światłem latarni
przepędzała chłód

Przełożył Bartosz Wójcik

Przekład powstał w trakcie pobytu rezydencyjnego w Baltic Centre for Writers and Translators w Visby (Szwecja), który umożliwiło stypendium wyjazdowe Prezydenta Miasta Lublin.

GRACE NICHOLS

(ur. 1950), autorka szeregu znaczących książek, w tym debiutanckiej *I is a Long-Memoried Woman* (1983), która przyniosła jej Commonwealth Poetry Prize. W swojej twórczości odwołuje się do tradycji karaibskich oraz kultur afrykańskich i indyjskich, a także do perspektywy feministycznej.

[Kup książkę](#)

Rzeczywistość jest niedoinwestowana

z DOROTĄ MASŁOWSKĄ

rozmawia KATARZYNA KAZIMIEROWSKA

RYNEK DOSTARCZA CI WSZELKICH narzędzi, żebyś mogła żyć poza jakąkolwiek wspólnotową interakcją. Nie jesteśmy przez to dla siebie realni, możemy się swobodnie, do woli nienawidzić.

Gdybyś nie musiała rozmawiać o swoich książkach, to o czym chciałabyś rozmawiać?

Nie wiem, czy w ogóle bym chciała. Konieczność rozmawiania z dziennikarzami jest dla mnie efektem ubocznym twórczości. Wiem, że to jest niezbędne jako pewna mediacja między mną a odbiorcą, ale powiem wprost: nie chce mi się.

To aż takie niepotrzebne?

To pisanie daje mi spełnienie i wyraz tego, co czuję i myślę. Nie mam potrzeby wyrażać więcej. Pisząc, mogę sobie szukać, pytać, mieć wątpliwości, wnikać w wielowymiarowość rzeczy. A media potrzebują gotowych diagnoz, zdań twierdzących, najlepiej „mocnych”, „efektywnych”, które nadają się na klikalne leady. Niestety, jak się jest pisarzem, to łatwo się takie rzeczy generuje, a świat chętniej to kupuje niż sprawy niejasne, niezamknięte, niepewne. Nie ma w tym dla mnie spełnienia.

W dodatku media pracują w coraz większym pośpiechu. Mało kto ma własne przemyślenia, ludzie notorycznie szukają rzeczy do powiedzenia w Google'u. A internet to rzeczywistość bez śmietnika, nigdy nic się tam nie dezaktualizuje, nie unieważnia, złoto i śmieci są na tych samych prawach.

DOROTA MASŁOWSKA

(ur. 1983), autorka głośnej *Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną*, za którą otrzymała Paszport „Polityki” i nagrodzonego Nagrodą Nike *Pawia Królowej*. Autorka wystawianych na całym świecie dramatów *Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku* i *Między nami dobrze jest*. W 2018 roku ukazała się jej powieść *Inni ludzie*. Laureatka Samuel-Bogumił Linde Preis 2020. Felietonistka Dwutygodnika.

[Kup książkę](#)

Piszę od prawie dwudziestu lat, od mojego debiutu zmieniała się rzeczywistość, kontekst polityczny i społeczny, ja sama bardzo się zmieniałam. Rozumiem, że tak zwany wizerunek, postać medialna ma swoją historię, ale moi rozmówcy bezustannie konfrontują mnie z tym, co powiedziałam w 2005 roku i proszą o komentarz. Często mam poczucie, że to obustronna marnacja czasu i słów, że świat by się bez tego doskonale obywał...

W pierwszym felietonie twojego nowego zbioru *Jak przejąć kontrolę nad światem, nie wychodząc z domu z czytami*: „Napiszecie książkę o lisach, będą lisy, lisy, lisy. Napiszecie książkę o lasach, to będą lasy. Będziecie zapraszani do lasów, będą was wszyscy pytali o lasy, będą wam na spotkania przynoszone lasy”. Wracanie do zakończonego tematu jest jak rozdrapywanie starego wspomnienia?

Zwłaszcza że książka zawsze ukazuje się z poślizgiem, a emocje, jakie towarzyszyły jej pisaniu, dawno przeminęły. Mnie to się bardziej kojarzy z przykrością osobistej niespójności. To znaczy, że musisz rozbudzić w sobie coś, czego już w tobie nie ma, albo odegrać siebie sprzed iluś miesięcy, czasem lat. Jako osoba publiczna funkcjonuję w takim rodzaju bezczasu, wszystko jest teraz. Jednocześnie na przykład promuję książkę w Polsce, w Stanach i Hiszpanii wychodzą moje dramaty, a w Niemczech *Inni ludzie*. W każdym z tych miejsc jestem zmuszona od nowa wzbudzić w sobie te emocje, których już nie mam, rozdrapać jakąś sprawę, która już mnie nie interesuje. I chcę być w tym szczerą i gorącą, ale coraz częściej myślę, że przydałby mi się dobry *Doppelgänger*. Nie jestem w stanie być sobą we wszystkich